

TEMATY TYGODNIA

12 Mariusz Janicki, Wiesław Władyka
Strategia dla Platformy

16 Edwin Bendyk
Polityczna siła internetu

POLITYKA

20 Wojciech Szacki
Menu Petru

22 Sławomir Sierakowski
**OGLĄD I POGLĄD
Polska dzieli się na nowo**

SPOŁECZEŃSTWO

24 Juliusz Ćwieluch
Bezdietne gminy

28 Edyta Gietka
Uzależniona izba wytrzeźwień

32 Katarzyna Szymielewicz
Algorytmem w bezrobotnych

34 Piotr Pytlakowski
Rasizm prowincjonalny

RYNEK

36 Joanna Solska
Konsument osierocony przez państwo

40 Adam Grzeszak
Kaliska wojna o Hellenę

43 Cezary Kowanda
Co teraz z Volkswagenem

ŚWIAT

48 Ziemowit Szczerek
**UKRAINA
Reformatoryz z importu**

52 Łukasz Wójcik
Koniec starych partii?

56 Jędrzej Winiecki
**AZERBEJDŻAN
Spór o igrzyska**

HISTORIA

62 Łukasz Bertram
Kulisy solidarnościowej wojny na górze

66 Tomasz Targański
Magna Charta ciągle ważna



12 PO: krążownik czy szalupa?



24 Wsie prawie bez dzieci



92 Modelki piękne inaczej



**108 NA WŁASNE OCZY
Bardzo spokojni muzułmanie**

NAUKA

70 Michał Doliński
**Zabójcza elektrownia
stoneczna**

74 Karol Modzelewski
**EDUKACJA
Wolna myśl
w jarzmie liczydeł**

76 TECHNOECHO

KULTURA

82 Piotr Sarzyński
**Feliks „Manggha”
Jasieński – kolekcjoner
oryginał**

86 Aneta Kyzioł, Urszula
Schwarzenberg-Czerny
**Hollywood:
bunt kobiet**

89 MEA PULPA
Kuby Wojewódzkiego

90 Rozmowa z pisarzem
**Larsem Sabyee
Christensenem**
o bohaterach literatury
norweskiej

LUDZIE I STYLE

92 Joanna Traciewicz
Modelki alternatywne

96 Mariusz Herma
Chinternet

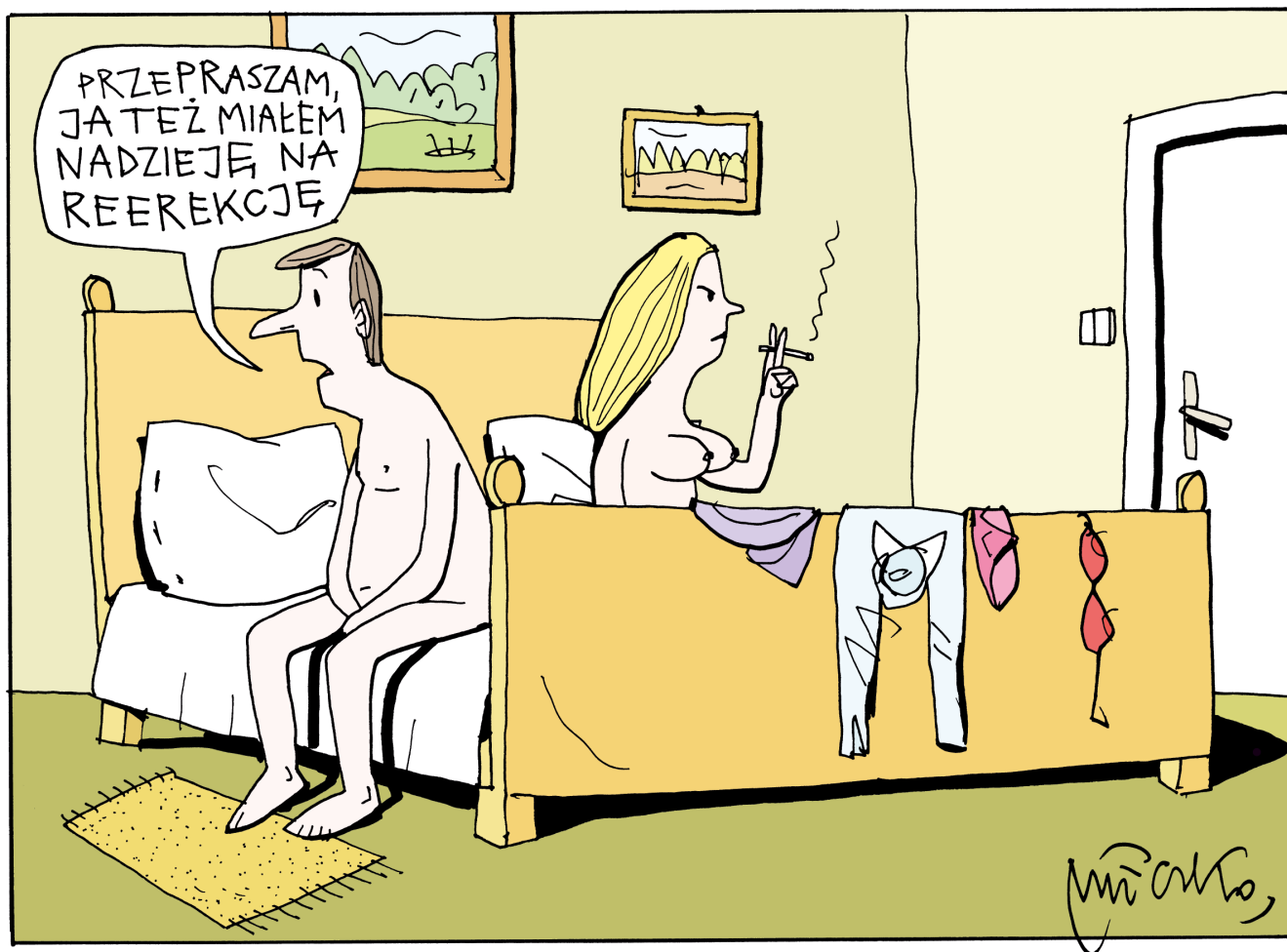
100 Marcin Piątek
Nasi najlepsi piłkarze

**NA WŁASNE
OCZY**

108 Ludwika Włodek,
fotografie
Karolina Samborska
**Ismailici z Pamiru
– dzień powszedni
i dzień weselny**

**STAŁE
RUBRYKI**

- **4** Mleczko i Mizerski
- **6** Ludzie i wydarzenia
- **78** Afisz • **102** Passent
- **104** Hartman • **105** Tym
- **106** Do i od redakcji
- **107** Fusy, plusy i minusy
- **114** Polityka i obyczaje



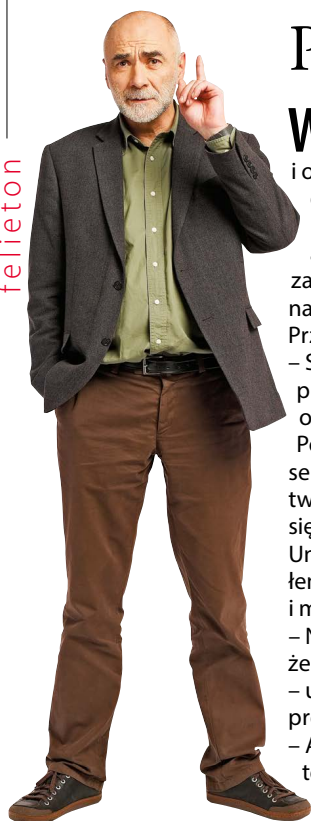
www.mleczeko.pl

GALERIE ANDRZEJA MLECZKI: KRAKÓW, UL. ŚW. JANA 14, WARSZAWA, UL. MARSZAŁKOWSKA 140

ślawomir mizerski z życia sfer

Prezydent elekt w oparach obietnic

felieton



Wygrana Andrzeja Dudy wzbudziła wielkie nadzieje i oczekiwania. Podobno kilka dni temu zebrał się zwołany przez prezydenta elekta sztab anty kryzysowy, aby omówić zagrożenia związane z tymi nadziejami i oczekiwaniami. Przebieg obrad mógł wyglądać tak: – Sytuacja jest trudna – zaczął prezydent elekt. – W kampanii obiecałem, że zrobię wszystko, aby Polakom żyło się lepiej. Tymczasem międzynarodowe instytucje twierdzą, że w Polsce już teraz żyje się lepiej niż w wielu innych krajach Unii. W „The Economist” przeczytałem, że kraj się dynamicznie rozwija i może być przykładem dla Europy. – Najgorsze, że z badań wynika, że Polacy generalnie są szczęśliwi – uzupełnił szef doradców prezydenta elekta. – Akurat tego nie popieram – zaprotestował prezydent elekt. – Stoję na stanowisku naszych bi-

skupów, że szczęście osiągniemy dopiero na tamtym świecie.

Ogłos poprosił zastępca szefa doradców. – Sądzę, że jeśli Polska się rozwija, a Polacy uważają, że są szczęśliwi i żyje im się coraz lepiej, to nie można tego problemu przemilczać. – Wiem. Dlatego rządowi i Komorowskiemu zapowiedziałem, żeby się powstrzymali i sami niczego nie robili. Ja wszystko zrobię. Oczywiście, jeśli prezes wyrazi zgodę. Jestem poważnym politykiem i nie chcę wyjść na kogoś, kto w kampanii wiele przesowski naobiecował, a potem się nie wywiązał. – Na szczęście mam informacje, że większość wyborców oczekuje od ciebie niespełnienia twoich obietnic, bo byłaby to katastrofa dla Polski – wtrącił zastępca szefa doradców. – Niespełnienie niektórych obietnic mogłoby już w pierwszym roku prezydentury przynieść budżetowi

poważne oszczędności – przyznał szef doradców.

– A rezygnacja ze wszystkich obietnic da w całej kadencji ok. 300 mld. – Znakomicie. Tylko czy mogą tak rezygnować, skoro obiecałem naprawę Polski? – Możesz. Nasi ekonomiści zapewniają, że niespełnienie obietnic to najlepszy sposób naprawy Polski. **P**rezydent elekt zdecydował, że w takim razie obieca coś Polakom, którzy w Polsce nie czują się jeszcze w pełni szczęśliwi, np. gejom. – Wiem. Obiecuję im, że będą mogli przyjść do mnie ze swoimi problemami. Mój pałac będzie dla każdego otwarty, oczywiście pod warunkiem, że nie będą mi tu latać półnaczy. – Obiecuję im związki partnerskie. – Bez przesady. Ale obiecuję, że będą mieli prawo do dowiadywania się w szpitalu o stan swojego zdrowia. – Chyba zdrowia partnerów? – To też, ale może w następnej kadencji – zakończył prezydent elekt.

Chcę prowadzić
swobodne
rozmowy
biznesowe
w Polsce
i za granicą



W odpowiedzi na potrzeby naszych Klientów
przygotowaliśmy **REWELACYJNE, NOWE PLANY.**

W Orange Biz VIP XL
za **149,99 zł + VAT** otrzymujesz:

Rozmowy
bez limitu
w Polsce i UE

5 GB
internetu LTE
w smartfonie
w Polsce



1 GB internetu
w UE

SAMSUNG Galaxy S6
z ubezpieczeniem

Jeszcze więcej dla naszych stałych Klientów.

Rozmowy bez limitu w UE oznaczają nielimitowane połączenia międzynarodowe z Polski do UE, nielimitowane połączenia odbierane w UE oraz 250 minut na połączenia wychodzące w roamingu w strefie 1: Unia Europejska. Podana cena stanowi opłatę miesięczną i dotyczy oferty z e-fakturą, za korzystanie z której udzielany jest rabat w wysokości 5 zł + VAT. Opłata za abonament dla Klientów aktywujących nowy numer i nieprzenoszących numeru od innego operatora jest wyższa o 5 zł + VAT. Smartfon Samsung Galaxy S6 jest dostępny za 599 zł + VAT w planie Orange Biz VIP XL. Wszystkie ceny są cenami netto i zostaną powiększone o należny podatek od towarów i usług VAT zgodnie z obowiązującymi przepisami. Szczegóły oferty u sprzedawcy lub na orange.pl/dlafirm.

Ciepła woda w Bawarii



Marek Ostrowski

Trzy problemy były najważniejsze na zakończonym właśnie szczycie G7 w Bawarii: agresja Rosji wobec Ukrainy, tzw. Państwo Islamskie i uchodźcy napływający do Europy oraz wpływ człowieka na globalne ocieplenie. Problemy różnorodne, ale mające jedną wspólną cechę. Przywódcy siedmiu największych potęg świata zgodnie uważają je za poważne i potencjalnie bardzo groźne, jednak nie na tyle, aby wymagały dośrodkowanych i natychmiastowych przeciwdziałań.

Po kolei: agresja rosyjska jest niedopuszczalna i nie wolno się z nią pogodzić, ale brytyjski minister spraw zagranicznych Philip Hammond powiedział, że Zachód musi uznać, iż Rosja czuje się okrażona i atakowana, więc trzeba unikać wszelkich niepotrzebnych prowokacji. Zresztą sam prezydent Ukrainy Petro Poroszenko ocenił tuż przed szczytem, że porozumienia mińskie – chociaż ciągle łamane – są jedynym możliwym rozwiązaniem kryzysu. Skoro innego nie ma, trudno oczekiwać zmian status quo.

Tak zwane Państwo Islamskie (PI) i uchodźcy. Nieszczęśnicy z Afryki i Bliskiego Wschodu napływają, bo ogarnięte konfliktami kraje żyją w wielkiej biedzie i albo nie ma władzy centralnej, jak w Libii, Iraku i Syrii, albo jest ona dyktatorska, jak w Egipcie. Ci, którym PI bezpośrednio zagraża – Turcja, Arabia Saudyjska, Jordania – niewiele się problemem interesują, a wiele krajów Zachodu – w tym Polska – nie widzi zagrożenia na tyle, by działać. Podobnie jest z problemem klimatycznym. Nawet prezydenta George'a W. Busha zdołano przekonać, że zagrożenie to nie wymysł naukowców. Ale znów – mało kto czuje i widzi potrzebę zdecydowanego działania.

WPolsce przed wyborami prezydenckimi też uważano, że problemy są, jednak odległe i mgliste. Dopiero głosowanie przyniosło w efekcie krach polityki ciepłej wody w kranie. Jakie jest podobieństwo problemów Polski do światowej agendy? G7 też prowadzi politykę ciepłej wody i ryzykuje, że pojawi się na planecie światowy Kukiz. Gorzej, że Kukiz także nie będzie wiedział, co właściwie zrobić.



© DARLEY SHEN/REUTERS/FORUM

Kapitan schodzi pierwszy?

Prawdopodobnie aż 442 osoby zginęły w wyniku zatonięcia „Wschodniej Gwiazdy”, 21-letniego **promu turystycznego** kursującego po rzece Jangcy. Późnym wieczorem 1 czerwca, podczas przepływania przez prowincję Hubei, jednostka trafiła na rzadkie w środkowych Chinach tornado. Załoga próbowała bronić się przed uderzeniem porywistego wiatru, wykonała gwałtowny zwrot, po czym prom zaledwie w ciągu minuty przewrócił się stępką do góry. Choć statek osiadł blisko brzegu, a dno kadłuba wystawało ponad powierzchnię wody, wysiłki prawie dwustu wojskowych nurków nie przyniosły rezultatu. Nie udało im się sforsować zamkniętych drzwi do przestrzeni pasażerskiej i pokłady stały się dostępne dla ratowników dopiero po podniesieniu statku. Jeszcze tydzień od katastrofy nie odnaleziono

no dziesięciu ciał – prawdopodobnie porwał je nurt, więc Jangcy będzie przeszukiwana po ujście, położone tysiąc kilometrów poniżej miejsca wypadku.

To szósta katastrofa z udziałem dużego promu pasażerskiego od zatonięcia „Costa Concordii” u wybrzeży Włoch w styczniu 2012 r. (32 ofiary). Do pięciu poprzednich zdarzeń doszło w wyniku błędów załóg. We wszystkich przypadkach wśród uratowanych byli kapitanowie, z „Costa Concordii” i koreańskiego „Sewola” (kwiecień 2014 r., 295 ofiar) kapitanowie uciekali jako jedni z pierwszych. Ekspert widzą też pewną prawidłowość: promy pasażerskie zabudowane kilkoma pokładami kajut i tarasów mają wysoko umieszczony środek ciężkości, więc przy gwałtownych manewrach łatwiej się wywracają.

Babcia rewolucji

Nowym burmistrzem Madrytu będzie **Manuela Carmena**. 71-letnia była komunistka, antyreżimowa działaczka z czasów dyktatury gen. Franco i emerytowana sędzia, zdobyła aż co trzeci głos mieszkańców stolicy i teraz tworzy lewicową koalicję, która będzie rządzić hiszpańską stolicą. Carmena – zwana już „babcia rewolucji” – wygrała dzięki... młodzieży. Gdy rozpoczęła kampanię wyborczą, była zupełnie anonimowa dla szerszego elektoratu. Ale zachwyceni nią młodzi graficy zaczęli tworzyć związane z nią obraz-



© PAPIEPA

ki, animacje i krótkie filmy. Kiedy została kandydatką koalicji nowych ruchów lewicowych, na ulicach stolicy zaczęły pojawiać się murale z jej twarzą, internet zalały wymyślne grafiki z jej wizerunkiem i nawiązaniami do popkul-

tury, a młodzi aktywiści z zapalem przekonywali, że kobieta w wieku ich babć jest jedynym lekiem na zabetonowaną scenę polityczną. I tak 71-latką stała się nadzieją rozczarowanej dotychczasową sceną polityczną młodzieży.

Carmena będzie rządzić miastem, które przez dwie dekady było bastionem prawicy – odbierając w ten sposób pewne (jak się wydawało) zwycięstwo „Żelaznej Damie” rządzącej Partii Ludowej Esperanzie Aguirre.

Francuz na cenzurowanym

Już 48 kin nad Sekwaną zapowiedziało, że nie pokaże „Francuza”. Kontrowersyjny film Patricka Diastème opowiada historię ruchu francuskich skinheadów, włącznie z brutalnymi morderstwami, również tym najsłynniejszym: utopieniem w rzece Marokańczyka Brahima Bouarrama przez członków Frontu Narodowego w 1995 r. Reżyser publicznie zarzucił właścicielom

kin, że nie chcą pokazywać jego dzieła, aby nie narażać się partii, która jeszcze w czasach przedstawianych w filmie była marginalnym ugrupowaniem skrajnej prawicy, a dziś jest o krok od współzrządzenia Francją. Diastème przypomina, że wielu członków Frontu wciąż należy do Groupe Union Défense, radykalnego i rasistowskiego zrzeszenia studenckiego, którego

członkowie zastrzygli przed laty z udziałem w kilku wojnach (np. na Bałkanach) jako najemnicy.

Gdy kolejne kina odmawiały wyświetlania „Francuza”, sam Front Narodowy został zaatakowany przez swojego założyciela **Jean-Marie Le Pena** za koniunkturalną łagodność. Od kiedy partią rządzi jego córka **Marine**, znany z ostrych wypowiedzi polityk stawał się coraz bardziej niewygodny. W zeszłym miesiącu został wreszcie zawieszony w prawach członka po udzieleniu wywiadu, w którym usprawiedliwił Holocaust. Wściekły Le Pen senior domaga się teraz od córki, aby zrzekła się nazwiska.

Recenzenci uważają, że niskobudżetowemu „Francuzowi” daleko jest do arcydzieła. Teraz filmowi będzie jeszcze trudniej konkurować z emocjami, jakie w prawdziwym życiu zapewnią widzom członkowie rodziny Le Pen.



© VINCENT KESSLER/REUTERS/FORUM

Erdoğan to nie Putin

komentarz



Łukasz Wójcik

Miało być 400, a jest 258 – to skala porażki Recepta Tayyipa Erdoğan. Prezydent Turcji na początku kampanii przed niedzielnymi wyborami do parlamentu przewidywał, że jego Partia Sprawiedliwości i Rozwoju (AKP), która rządzi samotnie Turcją od 2002 r., tym razem zdobędzie rekordowe 400 mandatów na 550 możliwych. Gdyby tak się stało, mogłaby sama zmienić konstytucję i zapewnić Erdoğanowi niemal dyktatorską władzę. Zdobyte przez AKP 258 mandatów to za mało nawet, aby utworzyć rząd. Poniekąd winni są Kurdowie. Pierwszy raz w historii do parlamentu weszło ugrupowanie niekryjące swoich związków z tą największą, bo liczącą ok. 20 proc. społeczeństwa, mniejszością. Ludowa Partia Demokratyczna (HDP) co prawda kreowała się na siłę ogólnokrajową z lewicowym programem, ale prawie wszyscy jej posłowie (80, w tym 31 kobiet i jeden gej) to Kurdowie. Z 13-proc. poparciem HDP przekroczyła najwyższy na świecie, 10-proc. próg wyborczy i jako czwarta partia w parlamencie zupełnie wyrzuciła podział mandatów z poprzednich wyborów. W rezultacie choć AKP zdobyła w niedzielę 41 proc. głosów, nie ma większości; w 2002 r. zgarnęła zale-

dwie 34 proc. i z dużym marginesem rządziła sama.

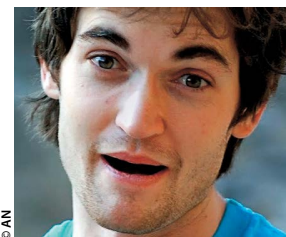
Winną jest więc również konstytucja. Pochodzi z 1982 r., została okrojona przez generałów, którzy wcześniej dokonali zamachu stanu, i daleko jej do zachodnich standardów. Stąd częściowo rację ma Erdoğan, który od lat domaga się nowej ustawy zasadniczej. Ta obecna sprawdza się tylko wtedy, gdy rządząca partia ma dużą przewagę nad resztą, jak dotychczas AKP. Turcja politycznie i gospodarczo straciła całe lata 90., bo zabrakło takiej dominującej siły. Teraz AKP mówi o koalicji, ale ta jest mało prawdopodobna i możliwe są przyspieszone wybory. A to może oznaczać początek politycznego chaosu.

Czym zawinił sam Erdoğan? Na pewno butą i obsesją na punkcie spiskowej roli mediów. Jednak opinie, jakoby Turcy się od niego odwrócili, są nieuzasadnione. Co prawda poparcie dla AKP w stosunku do poprzednich wyborów spadło o 9 punktów proc., ale to nadal ponad 40 proc. Porównania z Rosją Putina są tu absurdalne. W Turcji działa zorganizowana opozycja, która wysłała na wybory tabuny swoich obserwatorów i uznała głosowanie za „modelowo prawidłowe”. W Turcji, odkąd władzę przejęła AKP, doszło do prawdziwej rewolucji, która wyciągnęła z biedy miliony Turków i realnie dopuściła ich do polityki. Ci ludzie mają za co dziękować prezydentowi. To prawda, że rządzący od ponad dekad Erdoğan zapadł na chorobę politycznej pychy, ale tureccy wyborcy właśnie wykupili mu kurację odwykową. Putin wciąż udaje zdrowego i mało kto śmie go przekonywać, że jest inaczej. Politycznie dzisiejsza Rosja to Azja, Turcja to jednak wciąż Europa.

Haj online

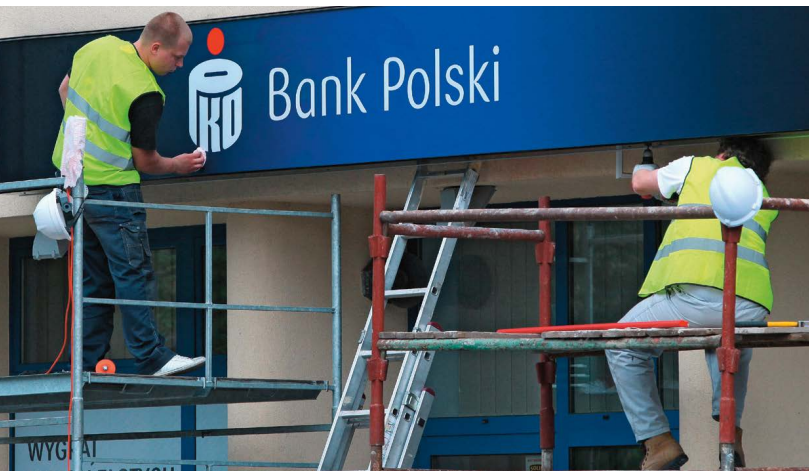
W ostatni piątek maja nowojorski sąd zdecydował, że 31-letni **Ross Ulbricht** resztę życia spędzi w więzieniu. Ten był skaut i absolwent fizyki ma odpokutować za stworzenie i prowadzenie Jedwabnego Szlaku (Silk Road), sklepu online, który przez ponad dwa lata pozostawał najbardziej znanym fragmentem internetowego czarnego rynku. W szczytowym okresie przez Jedwabny Szlak przechodziło do 50 mln dol. miesięcznie. Handlowano przede wszystkim narkotykami i podobnymi dowodami tożsamości, niedozwolona była za to dziecięca pornografia. Handlujący występowali tylko pod pseudonimami, kupujący płacili bitcoinami, elektroniczną walutą pozostającą poza wszelkimi systemami bankowymi. Narkotyki przychodziły pocztą, a sprzedawcy – tak jak w legalnych sklepach – byli oceniani przez klientów.

Ulbricht pobierał milionowe prowizje i cieszył się wolnością do października 2013 r., kiedy FBI ujęło go w osiedlowej bibliotece w San Francisco, i to w momencie, gdy administratora stroną. Sąd uznał, że skazany ułatwiał dostęp do narkotyków. Wcześniej trzeba było znać dealera, za sprawą strony wystarczył tylko dostęp do internetu. W niszy stworzonej i opuszczonej przez zamknięty Szlak wyrosły już podobne przedsięwzięcia. Skazanie Ulbrichta zbiegło się z publikacją wyników ankiety internetowej, w której udział wzięło 102 tys. ochotników z kilkudziesięciu krajów. Ponad 10 proc. przepytanych przyznało, że w 2014 r. kupiło narkotyki właśnie przez internet. Widać, że sieć, tak jak natura, nie lubi próżni.



© AP

Banki polskie, czyli lepsze?



© STEFAN MASZEWSKI/REPORTER

Za sprawą kontrolowanego przez państwo giganta ubezpieczeniowego PZU po raz kolejny wrócił temat repolonizacji sektora bankowego. Chodzi o odkupywanie przez polskie instytucje finansowe od zagranicznych właścicieli ich polskich spółek-córek. O repolonizacji mówi dziś zarówno rząd, jak i opozycja. Z każdym miesiącem śmielej i z większym zapałem. Najpierw na zakupy ruszył lider naszego rynku – PKO BP, który przejął Nordeę, a teraz własną grupę bankową zaczęło budować PZU. Nie ukrywa, że oprócz Alior Banku ma ochotę na kolejne zakupy.

Tymczasem, wbrew obiegowym opiniom, polski kapitał w naszych bankach nie jest wcale na wymarciu. Przeciwnie, w ciągu ostatnich lat jego udziały wzrosły. Według danych Komisji Nadzoru Finansowego krajowi inwestorzy kontrolowali w 2000 r. 30 proc. naszych aktywów bankowych, a w roku ubiegłym już ponad 40 proc. Jak to możliwe? Szybko rośnie gigant – PKO BP – ale też mniejsze banki prywatne, jak Getin Bank Leszka Czarneckiego czy Plus Bank Zygmunta Solorza. Do tego znacznie wzrosła siła państwowego Banku Gospodarstwa Krajowego, wykorzystywa-

nego przy rządowych programach stymulujących gospodarkę. Dzięki zakupom czynionym przez PZU już niedługo w polskich rękach może być prawie połowa naszego sektora bankowego. A zatem sukces?

Zwolennicy repolonizacji wskazują, że trzeba mieć więcej banków zarządzanych z Polski, bo dzięki temu będziemy mniej uzależnieni od decyzji podejmowanych przez zagraniczne centrale. Wiele zachodnich banków sprzedawało i sprzedaje swoje polskie córki, bo potrzebują dodatkowych kapitałów z powodu strat poniesionych podczas kryzysu finansowego. Po co nam tacy właściciele, którzy sami wpadli w kłopoty? Przez nich może cierpieć nawet polska gospodarka, bo córki łatwo zmusić do ograniczeń w udzielaniu kredytów naszym przedsiębiorcom. Do tego banki z centralami w Warszawie czy innych polskich miastach to dodatkowe miejsca pracy u nas, a nie we Frankfurcie, Paryżu czy Londynie.

Z drugiej strony pieniądze na odkupywanie banków z zachodnich rąk pochodzą głównie z zysków PKO BP i PZU, czyli dwóch gigantów kontrolowanych przez Skarb Państwa. Zatem ta repolonizacja to tak naprawdę ponowne upaństwowienie banków. Gdy wszystko idzie dobrze, rząd się cieszy, bo może wywierać wpływ na instytucje, których prezesów przecież wyznacza. Ale kiedy nadchodzą kłopoty, trzeba ratować banki z publicznych pieniędzy, co pokazały przykłady ostatnich lat, choćby w Niemczech, Hiszpanii czy Irlandii. Nie ma nic za darmo.

Z punktu widzenia przeciętnego klienta pochodzenie bankowego kapitału ma jednak znaczenie drugorzędne. Wszystkie działające u nas instytucje objęte są tymi samymi zabezpieczeniami w ramach Bankowego Funduszu Gwarancyjnego. Banki, które dziś zaliczamy do kategorii polskich, nie są generalnie ani lepsze, ani gorsze od swoich zagranicznych konkurentów. I jedni, i drudzy na wyżsigi podnoszą teraz prowizje i opłaty, żeby nie pogorszyły się ich wskaźniki zysków. Pod tym względem różnicę między narodowością kapitału trudno wychwycić.

CZESZY KOWANDA

W kolejnym numerze POLITYKI zamieścimy ranking kont bankowych.

Marynarze czują wiatr

Po 14 latach budowy, na początku lipca zwodowany ma być wreszcie okręt patrolowy **ORP Ślązak**. Co prawda nie jest to jeszcze koniec zmagania, bo jednostka musi przejść cały proces wyposażania i uzbrajania, co potrwa kolejnych kilkadziesiąt miesięcy. A następnie załoga będzie poznawała okręt, co również potrwa. Ale jest przynajmniej światło w tunelu: Marynarka Wojenna, po 14-letniej przerwie, dostanie wreszcie jakiś nowy okręt. Przez ostatnie 20 lat MW zyskała jedynie dostosowany do jej potrzeb okręt wsparcia logistycznego ORP Kontradmiral Xawery Czernicki (w 2001 r.) oraz kilka wysłużonych jednostek z darów. Potencjał bojowy tych okrętów jest niski. Trudno się dziwić, że marynarze nie mogą się już doczekać Ślązaka.

Wodowanie miało się odbyć już w czerwcu. Jednak w połowie miesiąca ma się zmienić dowódca generalny



© WOJCIECH STROZYK/REPORTER

Sił Zbrojnych, więc z uroczystością postanowiono zaczekać na jego następcę. Ponadto wciąż nie wiadomo, kto będzie matką chrzestną jednostki. W przypadku okrętów wojennych to dosyć ważna postać, której rola nie ogranicza się do rozbicia butelki szampana o burtę i wygłoszenie standardowej formułki. Matka chrzestna ma dbać o załogę

i wspierać okręt. Dlatego MW tradycyjnie celowała w kobiety wpływowe. Matkami chrzestnymi są Aleksandra Miller, żona byłego premiera Leszka Millera, czy Małgorzata Sekuła-Szmajdzińska, wdowa po ministrze obrony Jerzym Szmajdzińskim. Jeszcze kilka miesięcy temu mocną kandydatką na matkę chrzestną Ślązaka była urodzona w Katowicach Elżbieta Bienkowska, była wicepremier i unijna komisarka do spraw rynku wewnętrznego i usług. Po publikacji taśm z zapisem jej rozmowy z szefem CBA oraz przy słabnących notowaniach PO kandydatura odeszła jednak na plan dalszy. Nieoficjalnie mówi się, że wśród kilku propozycji mocną pozycję ma kandydatura Agaty Dudy, żony prezydenta elekta. Marynarze wiedzą, skąd wieje wiatr. Sprawie nie nadano jednak jeszcze oficjalnego biegu i jest na etapie sondowania. (JULL)

Czerwiec miesiącem nietrzeźwości

Od sierpnia będzie lepiej – westchnął z nadzieją podczas procesji z okazji święta Bożego Ciała kardynał Stanisław Dziwisz. Ponieważ tuż za nim kroczył prezydent elekt Andrzej Duda, nie było wątpliwości, z kim wiąże się ta nadzieja. Nie było też wątpliwości, z czym się wiąże. Z pewnością nie z obietnicą 500 zł na każde dziecko czy podwyższeniem kwoty wolnej od podatku. To pożeganie się z niemoralnym in vitro pod nowymi rządami jest wielką nadzieją kardynała Dziwisza. Postulaty pod adresem nowego prezydenta rozpisali zresztą hierarchowie Kościoła na wiele głosów i dotyczą one zaniechania uregulowania kwestii in vitro, wyrzucenia do kosza konwencji antyprzemocowej oraz zahamowania wszelkich zakusów na uchwalenie ustawy o związkach partnerskich. Środowiska mniejszości seksualnych, których część tak bardzo brzydził Bronisław Komorowski swoim staroświeckim konserwatyzmem, że nie ukrywały chęci poparcia Andrzeja Dudy, dostały szybką i zdecydowaną odprawę. Pozostaje im tylko deklaracja prezydenta elekta, że może usiąść z gejem przy jednym stole. O to chodziło?

Czołowi przedstawiciele episkopatu jednym głosem przypomnieli prezydentowi elektowi, przed czym ma Polskę obronić. Zgodny chór, jakim to uczynili, i okazja, z której skorzystali, zabrzmiał jak przypomnienie, komu tę prezydenturę zawdzięcza. Ten zgodny chór każe się jednak również zastanowić, czy naprawdę w polskim Kościele myśli się jeszcze o czymś innym niż tylko o szeroko rozumianej seksualności? Rozważań filozoficznych nie widać, wkładu intelektualnego do europejskich choćby debat o przyszłości Kościoła też nie, głębsza myśl błąka się gdzieś po marginesach, zresztą źle widzianych. W centrum uwagi mamy głównie mroźne zarodków i wizję jakiegoś strasznego gender. Nie ma nawet żadnej refleksji nad dniem dzisiejszym, a przecież okoliczność była wyjątkowo sposobna: Boże Ciało wypadło akurat 4 czerwca, a więc w 26. rocznicę wyborów, które rozpoczęły drogę do demokracji i wolności, które nie wepchnęły Polski w czarną dziurę rozpaczy, przyniosły za to wiele sukcesów, także wiernym biorącym udział w procesjach. Oni również byli uczestnikami tego wielkiego wysiłku, dzięki któremu dokonana się zmiana. I nic. Nadzieja przyjdzie dopiero w sierpniu. Wtedy będzie lepiej.

Może się jednak okazać, że „lepiej” wcale nie będzie. Wszak prezydent elekt stał się orędownikiem instytucji referendum, jeśli pod wnioskiem zbierze się milion



podpisów. Wydaje się, że jest dziś wiele środowisk, które taki milion może zebrać, choćby pod projektem ustawy o związkach partnerskich, i wtedy kto wie? Polacy bywają przekorni i choć na procesje chodzą, wcale tak bardzo kościelnych nauk nie słuchają. Może mają dość nie tylko klasy politycznej, którą chcą zmienić? Bunt dla buntu może się kierować w różne strony. Dziś mamy JOW, jutro może pojawić się coś innego. A referendum i kampanię referendalną przeciwczymy już we wrześniu.

W ramach przygotowań do tej kampanii w różnych regionach rozpoczęły się szkolenia mające wyjaśnić, czym tak naprawdę są owe JOW. Na początek wybrano Gdynię, która szczególnie się do tego nada. Otóż w tym mieście jest 120 komisji obwodowych i we wszystkich najwięcej głosów w wyborach samorządowych zdobyli kandydaci z listy obecnego prezydenta Wojciecha Szczurka, który rządzi już tyle kadencji, że nawet trudno je zliczyć, a więc nie da się go uznać za nową twarz polityki. Raczej, wedle Kukizowych hasła, powinien zostać uznany za relikwiarz starego systemu, który koniecznie trzeba obalić. Tymczasem gdyby w Gdyni zastosować JOW, rada miasta składałaby się w stu procentach z ludzi prezydenta, nie byłoby żadnej opozycji. Sytuację uratowało to, że w dużych miastach obowiązuje ordynacja proporcjonalna, dzięki której jest jednak reprezentacja mogąca patrzeć władzy na ręce. Czy zwolenników JOW ten prosty i przećwiczony w praktyce przykład przekonuje? Oczywiście, że nie, oni wiedzą swoje.

Czerwiec zamiast miesiącem trzeźwości stał się miesiącem powszechnego oszołomienia. W rankingach wysoko lokują się dwie nieistniejące partie: Kukiza i Ryszarda Petru, tworzącego stowarzyszenie wkurzonych przedsiębiorców. Istniejącą Platformę Obywatelską już odesłano do lamusa, a PiS jakoś po zwycięstwie Andrzeja Dudy nie zyskuje, choć panuje powszechne przekonanie, że wybory parlamentarne wygra. Być może dlatego Jarosław Kaczyński, pewny do niedawna kandydat na pre-

mera, zagrożony jest przez Beatę Szydło, szefową sztabu prezydenta elekta, z którą elekt chciałby najbardziej współpracować. Zresztą sam prezes zapowiedział, że kandydata na premiera wyznaczy nowy prezydent. W dodatku powołanie nastąpi na czas określony wyłącznie wolą prezydenta. Kandydat ma złożyć od razu dymisję, tyle że bez daty. Tę wybierze już prezydent. Prezes mówi serio czy nie? Czy Duda mówi serio? Objawy niepewności, wręcz paniki, widoczne są wszędzie, tak wśród przegranych, jak i zwycięzców.

Generalnie nikt też niczego nie prorokuje. Odwagą wykazał się właściwie jedynie Ludwik Dorn, który uważa, że większe szanse ma Petru niż Kukiz, bo reprezentuje jedną grupę interesów, a Kukiz wszystkich, czyli nikogo. Zamiast prognoz mamy licytację, kto jest bardziej wkurzony. Na przykład bardzo przekonująco wkurzony jest właściciel firmy InPost, współzałożyciel partii Petru. Dotychczas, zatrudniając większość pracowników na tak zwanych umowach śmieciowych, wygrał wielkie państwowe przetargi i teraz akurat się potknął na państwowej Pocztę Polskiej, która ma pracowników etatowych. Czy to nie jest powód do wkurzenia? Czy to nie jest dowód na dyskryminację polskiego przedsiębiorcy? Wkurzone są załogi z Mielca i Świdnika, bo śmigłowce mają być z Francji, a nie od nich. Wkurzeni są pracownicy zakładów lotniczych w Łodzi, bo dzięki Francuzom mieli się rozwijać i zyskiwać miejsca pracy, a tu Mielec i Świdnik przystąpiły do ofensywy, dobijając się o zmianę przetargowej decyzji. Argumenty mają mocne – to przez wybór Francuzów Bronisław Komorowski przegrał wybory w powiecie świdnickim. Czy premier Kopacz może sobie na taki luksus pozwolić w sytuacji, kiedy musi liczyć każdy głos, bo szeregi wyborców wyraźnie topnieją? Czyż więc paradoksalnie prezydent elekt nie miał racji, wzywając rząd do zaniechania prac? Przecież gołym okiem widać, że im mniej decyzji i projektów ustaw, tym lepiej i powodów do wkurzenia się mniej.

Trzeba jednak przyznać, że w morzu wkurzonych mamy wyspy względnego spokoju. Sprawy lewicy w Polsce wzięły wreszcie w swoje ręce Jan Guz, szef OPZZ, zgodnie z obowiązującym trendem zupełnie nowa twarz polskiej polityki. To on zwoła kolejny kongres zjednoczeniowy, wyręczając tym samym zmęczonego Leszka Millera. Guz ma też tę zaletę, że jest w dobrych relacjach z prezydentem elektem, może więc być pomostem, choć na razie nie wiadomo do czego. Kto pojawi się na kongresie, też nie wiadomo. Najpewniej nie pojawi się Ryszard Kalisz, któremu urodził się właśnie kolejny syn. Gratulacje. Wszak praca na rzecz wyjścia z demograficznej zapaści jest dziś ważnym obowiązkiem obywatelskim.

Obraz i obraza



Piotr Sarzyński

Przez cały wydłużony weekend media w Polsce żyły sprawą obrazu „**Ostatnia wieczerza**” prof. Macieja Świeszewskiego. Przypomnę, że to monumentalne dzieło miało być najbardziej spektakularną ozdobą polskiego pawilonu na targach Expo 2015 w Mediolanie. Nie będzie, bo władza postanowiła inaczej.



© WOJTEK JAKUBOWSKI/KFP

Bulwersujący jest sposób załatwienia sprawy (odwołanie wysyłki obrazu na kilka godzin przed planowanym transportem, brak gotowości pokrycia przez organizatorów wysokich kosztów całej operacji itd.). Ale najbardziej skandaliczne jest to, że – jeśli wierzyć oświadczeniu artysty – decyzję podjął wicepremier Janusz Piechociński z paragrafu „obraz obraża moje uczucia religijne”. O tyle to groteskowe wyjaśnienie, że autor za tę pracę otrzymał niegdyś doroczną nagrodę episkopatu.

W ostatnich dekadach zdarzały się w Polsce, budzące mniejsze lub większe oburzenie, akty cenzury artystycznej. Zazwyczaj wycofywano dzieła sztuki z już otwartej ekspozycji na skutek tzw. protestów społecznych. Przypomnę najgłośniejszy przypadek: usunięcie z Zachęty pracy Piotra Ukińskiego „Naziści”. Rzadziej dochodziło do stosowania tzw. cenzury prewencyjnej, a wydarzeniem szczególnie zapamiętanym przez środowisko była rezygnacja kuratora wystawy z pokazania na Biennale w Wenecji dzieła „Lego. Obóz koncentracyjny” Zbigniewa Libery.

Sprawa „Ostatniej wieczerzy” jest jednak wyjątkowa. Jeżeli decyzję rzeczywiście podjął osobiście wicepremier Piechociński, to mamy do czynienia z bezprecedensową w historii III RP i wyjątkowo arogancką ingerencją władzy centralnej w obszar kultury. Jeżeli podyktowana była ona „uczuciami religijnymi”, to skandal jest tym większy. Z drugiej strony – czego media jakby nie dostrzegają – jako trudno wyobrazić sobie doświadczonego w końcu polityka pakującego się z własnej woli i w tak gorącym dla niego okresie (zbliżające się wybory do Sejmu) w śmierzdzącą na odległość aferę. Wszystko wskazuje więc na to (a nieoficjalne źródła potwierdziły tę informację), że wyjazd „Ostatniej wieczerzy” postanowił stoperdować ktoś wpływowy ze środowiska kultury, a wicepremier i minister w jednym dał się bezkrytycznie w tę personalną rozgrywkę wciągnąć. Swoją drogą chętnie usłyszałbym, co ma do powiedzenia na temat tej hecy minister kultury i dziedzictwa narodowego Małgorzata Omilanowska, która na razie milczy jak zaklęta. A może – na zasadzie wzajemności – powinna zacząć się wtrącać do kontraktów na dostawy gazu do Polski?

PIOTR SARZYŃSKI

Jan Koza



© JAN KOZA



© ADAM BRZOZAI/FOTONOVA

Miasta się uczą

Fundacja Schumana opublikowała pierwszy w Polsce ranking „miast uczących się”. Zestawienie wyłoniło liderów oraz miasta nieradzące sobie pod względem rozwoju kapitału ludzkiego i społecznego, infrastruktury czy łatwości prowadzenia biznesu. W pierwszej trójce rankingu znalazły się: Warszawa, **Rzeszów** i Poznań. Stolica zajęła pierwsze miejsce, zdobywając 54,9 pkt na 100 możliwych i jako jedyne polskie miasto może być porównywana z innymi metropoliami europejskimi. Według rankingu na uwagę zasługuje również Rzeszów, który został określony jako stolica nowych technologii. Jak czytamy w raporcie, to jedyne miasto w Polsce, które związało przyszłość z technologiami i konsekwentnie realizuje tę strategię. Jest także drugim miastem w Europie, po Lizbonie, jeżeli chodzi o zapotrzebowanie na informatyków. Jako jedno z niewielu polskich miast może też w najbliższych latach spodziewać się przyrostu liczby mieszkańców.

W ostatniej dziesiątce znalazły się miasta z Górnego Śląska: Żory, Jaworzno i Piekary Śląskie – to miasta cofające się w rozwoju, zarówno demograficznie, jak i gospodarczo. Twórcy rankingu, definiując „miasto uczące się”, wykorzystali pojęcie stosowane m.in. przez urbanistę Richarda Floridę. Według niego miasta funkcjonują jako magazyny nauki i pomysłów, zapewniając przyjazne środowisko i infrastrukturę ułatwiającą przepływ wiedzy, która jest motorem wzrostu gospodarczego. Miasta sklasyfikowano za pomocą różnorodnych danych pochodzących z GUS, ZUS, UKE, Ministerstwa Pracy, Ministerstwa Finansów, Ministerstwa Sprawiedliwości, Ośrodka Przetwarzania Informacji oraz Komendy Głównej Policji. Na tej podstawie wyodrębniono pięć kategorii, w których ocenianych było 66 miast. (M.Z.)



 Obróć stronę o 180 stopni i zobacz efekt

W bankowości korporacyjnej i inwestycyjnej

liczą się efekty

- Obsługujemy **60% firm z listy 500 Rzeczpospolitej**.
- Mamy **90% zadowolonych klientów korporacyjnych**.*
- Blisko **30 lat doświadczenia w bankowości dla przedsiębiorstw**.
Kiedyś BRE Bank, teraz mBank.

* Dotyczy klientów biorących udział w badaniu własnym satysfakcji klientów za rok 2014.



Zeskanuj kod lub
wejdź na LicząSięEfekty.pl

mBank.pl



Ikona mobilności